

Žižek po Polsku - IJŽS Vol 2.0

Europa bez konstytucji

Slavoj Žižek

Wspólnoty amiszów praktykują zwyczaj zwany rumspringa (od niemieckiego "herumspringen", czyli "skakać wokół"): w wieku lat 17 ich dzieci (wcześniej poddane surowej dyscyplinie domu rodzinnego) zostają wypuszczone na wolność. Nie tylko się im pozwala, ale wręcz zachęca, by opuściły znajome kąty i doświadczyły obyczajów świata "Anglików": zaczęły rozbijać się samochodami, słuchać muzyki pop, oglądać telewizję, pić alkohol, brać narkotyki i uprawiać dziki seks. Dopiero po kilku latach oczekuje się od nich decyzji: czy zechcą powrócić i stać się członkami wspólnoty amiszów, czy też raczej opuszczą ją na dobre i staną się zwykłymi amerykańskimi obywatelami. Rozwiązanie to wcale nie jest permissywne, a więc takie, które zezwalałoby młodym ludziom na prawdziwie wolny wybór, oparty na pełnej wiedzy i doświadczeniu obu stron. Przeciwnie - jest ono od samego początku skrzywione i to w najbardziej brutalny sposób: to niemal wzorzec wyboru pozornego. Gdy bowiem, po latach dyscypliny i fantazjowania na temat "angielskiego" świata na zewnątrz, dorastający amiszki zostają nagle i bez przygotowania wrzuceni w ten świat, nie mają innego wyjścia, jak tylko popaść w najbardziej transgresywne wzory zachowania, "wypróbować wszystko" i rzucić się w wir picia, seksu i narkotyków. A ponieważ nikt nigdy nie nauczył ich, jak dyscyplinować się w tego rodzaju modelu życia, permissywne rozpasanie nieuchronnie prowadzi do reakcji, rodząc nieznośny lęk; dlatego też można z dużą pewnością założyć, że po tych kilku latach większość z nich powróci do bezpiecznie izolowanej wspólnoty. Nic dziwnego, że w ten sposób postępuje 90 proc. dzieci.

To doskonały przykład trudności, które zawsze towarzyszą idei wolnego wyboru: podczas gdy młodym amiszom daje się formalnie wolność wyboru, to warunki, w jakich dokonują tego wyboru, czynią go de facto niewolnym. By mogli mieć naprawdę wolny wybór, należałoby ich najpierw poinformować o wszystkich opcjach - w istocie jednak, by tego dokonać, trzeba by o wiele wcześniej wyjąć ich ze wspólnoty amiszów, czyli po prostu zrobić z nich "Anglików".

Przykład ten dobrze też ilustruje ograniczenia w standardowym liberalnym podejściu do muzułmańskich kobiet, które noszą czarczaf: mogą go nosić, jeśli jest to ich wolny wybór, a nie opcja narzucona im przez ich mężów albo rodziny. Jednak moment, w którym kobiety zaczynają nosić czarczaf w wyniku wolnego indywidualnego wyboru, całkowicie odmienia sens takiego gestu: nie jest to już znak przynależności do wspólnoty muzułmańskiej, lecz wyraz ich idiosynkratycznej indywidualności. Różnica jest mniej więcej taka sama, jak między Chińczykiem, który spożywa chińskie jedzenie, ponieważ tak od niepamiętnych czasów postępują ludzie z jego wioski, a obywatelem zachodniej megalopolis, który decyduje się zjeść obiad w lokalnej chińskiej restauracji. Wybór jest więc zawsze "metawyborem", wyborem modalności samego wyboru: tylko kobieta, która postanawia nie nosić czarczafu, rzeczywiście realizuje wolność wyboru w zachodnim rozumieniu. To również powód, dla którego w naszych świeckich społecznościach wyboru ludzie podtrzymujący swą religijną przynależność znajdują się w pozycji podrzędnej: nawet jeśli pozwala im się na wiarę, to jest ona zaledwie "tolerowana" jako ich idiosynkratyczny osobisty wybór-opinia; natomiast w chwili, gdy swą wiarę przedstawiają publicznie jako to, czym dla nich istotnie jest (czyli realną przynależnością), oskarża się ich o "fundamentalizm".

Co to wszystko jednak ma wspólnego z francuskim "nie" powiedzianym europejskiej konstytucji, którego pourazowe fale zataczają coraz szersze kręgi, już dawno Holendrom do tego, by ci odrzucili konstytucję z jeszcze większym procentem głosów negatywnych? Wszystko. Francuską publiczność potraktowano bowiem dokładnie tak samo jak amiszowych wyrostków: nie dano jej jasnego symetrycznego wyboru. Warunki wyboru były tak spreparowane, by stworzyć preferencję na "tak": elita zaproponowała ludowi wybór, który w istocie w ogóle nie był wyborem - lud wezwano jedynie po to, by potwierdził nieunikniony wynik oświeconej ekspertyzy. Media i elity polityczne przedstawiły więc ów wybór jako wybór między wiedzą a ignorancją, ekspertyzą a ideologią, postpolitycznym zarządzaniem a starą polityczną namiętnością Lewicy i Prawicy. "Nie" potraktowano w konsekwencji lekceważąco jako krótkowzroczną reakcję nieświadomą swych następstw: ciemny odruch lęku przed wyłaniającym się nowym postprzemysłowym porządkiem globalnym, czysto instynktowną wolę zachowania wygod państwa opiekuńczego albo gest odmowy, za którym nie stoi żaden pozytywny program alternatywny. Nic zatem dziwnego, że jedyne partie, których oficjalnym sloganem było "nie", okazały się stronnictwa ze skrajnych biegunów politycznego spektrum: Front Narodowy Le Pena z prawej oraz komuniści i trockiści z lewej. Wmawia się nam ponadto, że owo "nie" było w istocie "nie" powiedzianym wielu innym zjawiskom: anglosaskiemu neoliberalizmowi, Chiracowi i obecnemu rządowi francuskiemu, a także napływowi robotników z Polski, którzy obniżają płace robotników francuskich itd., itp. (Nim odtrąci się tę ostatnią skargę jako rasistowską, trzeba jednak przypomnieć sobie ten prosty fakt, że napływ imigranckich robotników z krajów

postkomunistycznych nie jest następstwem jakiejś wielokulturowej tolerancji, lecz częścią strategii globalnego kapitału, pragnącej ukrócić roszczenia środowisk robotniczych!)

Tak zatem, nawet jeśli jest w tym wszystkim wiele prawdy, to fakt, że głos na "nie" nie opierał się na żadnej spójnej alternatywnej wizji politycznej, sam w sobie wyraża najmocniejsze potępienie elity polityczno-medialnej: jest pomnikiem wystawionym jej niezdolności do wyartykułowania i przełożenia na język wizji politycznej roszczeń i pragnień zwykłych ludzi. Tymczasem elita ta w reakcji na "nie" potraktowała owych ludzi jak opóźnionych w rozwoju uczniów, którzy nie przyswoili lekcji ekspertów: jej samokrytycyzm przypominał skruczę nauczyciela, który przyznaje, że nie udało mu się właściwie wyedukować wychowanków.

Choć więc wybór ten nie był tak naprawdę wyborem różnych opcji politycznych, nie był także wyborem między oświeconą wizją nowoczesnej Europy, gotowej na wpisanie się w nowy porządek globalny, a starymi i mętnymi pasjami natury politycznej. Komentatorzy mylili się, opisując owo "nie" jako symptom lęku. Albowiem głównym lękiem, z jakim mamy tu do czynienia, jest lęk wywołany przez ów głos sprzeciwu w nowej europejskiej elicie politycznej: że ludzie nie będą już z taką łatwością przychylić się do jej "postpolitycznej" wizji. Dla wszystkich innych "nie" stanowi raczej wyraz nadziei, że polityka jest nadal żywa i możliwa, a debata na temat kształtu przyszłej Europy nadal może się toczyć. To oczywisty powód, dla którego my, ludzie lewicy, powinniśmy odrzucić pogardliwe insynuacje liberałów, że głosząc na "nie", wylądowaliśmy w jednym łóżu z neofaszystami. Populistyczna prawica i lewica mają jedną cechę wspólną - świadomość, iż właściwa polityka wciąż jeszcze nie umarła.

W "nie" zawierał się więc element wyboru pozytywnego - wybór samego wyboru. Albo innymi słowy: odrzucenie szantażu zafundowanego przez nową elitę, oferującą nam jedynie wybór między potwierdzeniem jej wiedzy eksperckiej a okazaniem irracjonalnej niedojrzałości. "Nie" jest decyzją pozytywną, by rozpocząć właściwą polityczną debatę na temat takiego kształtu Europy, jakiego naprawdę pragniemy. Pod koniec życia Freud zadał słynne pytanie: "Was will das Weib?", przyznając się do konfuzji w kwestii zagadki, jaką przedstawia sobą kobieca seksualność. Czy całe zamieszanie związane z konstytucją europejską nie stanowi świadectwa analogicznego zakłopotania, niepewności, co do tego, jakiej Europy chcemy? Mówiąc po prostu: czy chcemy żyć w świecie, w którym jedyny wybór to wybór między cywilizacją amerykańską a właśnie rodzącą się chińską cywilizacją kapitalistyczno-autorytarną? Jeśli odpowiedź jest negatywna, jedyną alternatywą pozostaje dla nas Europa. Trzeci Świat nie potrafi stawić dostatecznie silnego oporu wobec ideologii amerykańskiego snu; w obecnej konstelacji dokonać tego może tylko Europa. Dlatego prawdziwą opozycją nie jest dziś przeciwstawienie pierwszego i Trzeciego Świata, lecz konflikt między całym

światem pierwszym i trzecim (globalne imperium amerykańskie i jego kolonie) a światem drugim (Europa).

A propos Freuda, Theodor Adorno twierdził, że współcześnie wkraczamy w tak zwany "świat administrowany", którego cechą naczelną jest "represyjna desublimacja". Desublimacją tą nie rządzi już stara logika wypierania id z jego popędami, lecz perwersyjny pakt zawarty między superego (władza społeczna) a samym id (niedozwolone tendencje agresywne), kosztem ego. Czy dziś, na poziomie politycznym nie zachodzi coś strukturalnie podobnego? Czy nie obserwujemy osobliwego paktu między ponowoczesnym kapitalizmem globalnym a społecznościami przednowoczesnymi, paktu zawartego kosztem właściwej modernizacji?

Amerykańska ekonomia i kultura znakomicie czują się w warunkach eksploatacji (tak ekonomicznej, jak kulturalnej) krajów Trzeciego Świata, wchodząc z nimi w prawdziwą symbiozę: eksportując produkty wysokiej techniki oraz żywność i importując surowce oraz tanie produkty odzieżowe; zalewając Trzeci Świat amerykańską kulturą masową i przyswajając wybrane elementy kultur "autentycznych". Amerykańskiemu globalnemu imperium z łatwością przychodzi integrowanie przednowoczesnych tradycji lokalnych - jedynym ciałem obcym, którego wchłonąć nie potrafi, jest europejska nowoczesność.

Dlatego, choć francuski (a teraz holenderski) głos na "nie" nie jest wsparty na żadnej spójnej i szczegółowej wizji alternatywnej, bez wątpienia tworzy on dla niej miejsce, otwierając przestrzeń, która domaga się, by wypełnić ją projektami - dokładnie odwrotnie do postawy z okresu przedkonstytucyjnego, która w istocie wykluczała wszelkie myślenie, stawiając nas przed administracyjno-politycznym faktem dokonany. Przekaz francuskiego "nie" dla nas wszystkich, zatroskanych o los Europy jest następujący: żadni anonimowi eksperci, których produkty sprzedaje się nam w wielobarwnym, liberalno-multikulturalistycznym pakiecie, nie powstrzymają nas przed myśleniem. Już czas, byśmy my, obywatele Europy, uświadomili sobie, że musimy dokonywać prawdziwie politycznych decyzji w kwestii naszych żywotnych pragnień. Pracy tej nie wykona za nas żaden oświecony zarządca.

przeł. Agata Bielik-Robson

Artykuł ukazał się w „Europie”, dodatku do „Dziennika” z 13 lipca 2005 roku. Dziękujemy redakcji „Europy” za zgodę na publikację tekstu na stronach *International Journal of Žižek Studies*.

http://www.dziennik.pl/dziennik/europa/article46948/Europa_bez_konstytucji.html